Nr 6. 1860. 5 Listopada.

NIEWIASTA.

Patryarchalność.

Zatopiony w myślach wjeżdżam do pięknej i schludnej wioski, która była przy drodze w podróży mej ku wschodowi. Zastanawiało mię to, że chałupy nie były w czystem polu rzucone jakby koczujących szałasy, co tak niekorzystne czyni wrażenie o cywilizacyi ludu naszego, i daje podróżnym wyobrażenie, że to lud zdziczały, prostaczy przemieszkiwa, ale przeciwnie, po przed każdą prawie chatką był ogródek, rozmaitemi zasadzony kwiatkami, a po za niemi dość wielkie i piękne maiły się sady drzew owocowych.

Jak się ta wieś nazywa? zapytałem się woźnicy mojego, który z owych stron najęty, dziarsko popędzał swe koniki. Grabkowa, mój jegomość, odrzekł parobek, uchylając kapelusza za każdą razą gdy co mówił lub odpowiadał. Tu musi być dobry pan, dziedzic tej wsi, rzekłem do niego. O! dobry pan, mój jegomość, odrzekł parobek, ale pani tu, to *okrutnie dobra!* — Mimowolnie uśmiechnąłem się na to wyrażenie, ale wiedząc, iż taki jest sposób mówienia naszego ludu, ucieszyłem się wielce z tego, że ci państwo, których ta wieś jest własnością, tak dobrą u okolicznych włościan posiadają sławę. — A przypomniawszy sobie, że to właśnie w Grabkowej dziedzicem jest przyjaciel mój i kolega z szkolnych jeszcze ławek, umyśliłem wstąpić do niego, i dowiedzieć się bliższych szczegółów tej okrutnej dobroci pani tego dworu.

Zajechałem! Poznał mię zaraz Staś poczciwy, chociaż blisko trzydzieści lat minęło od ostatniego widzenia się naszego. Przedstawił mi żonę swoją, i milutkie dzieci, które z głębi serca najczulej pobłogosławiłem. Bardzo, bardzo wiele, znaleźliśmy do mówienia ze sobą, aż nareszcie przyszło i do mowy o odznaczającym się tej wsi porządku i o okrutnej dobroci lubej jego żony.

Rzekł mi więc pan Stanisław: Czternaście lat już będzie, jakeśmy się pobrali. Bóg pobłogosławił mię taką żoną, która zaszczytem staje się dla każdej rodziny w którą wejdzie, i błogosławieństwem dla każdego ludu śród którego zamieszka. Czuję to głęboko z najżywszą ku Bogu wdzięcznością, że dobra żona jest jednem z najwiekszych dobrodziejstw i błogosławieństw bożych na ziemi.

Kiedy wprowadziłem ją w dom mój, z najszczerszą radością dziękowałem jej czule, iż mię niewymownie uczyniła szczęśliwym i złamanemu rozlicznemi, jak wiesz cierpieniami, pociechę i spokój wniosła pod strzechę; ona wyrażając mi wdzięcznie swoje uszczęśliwienie, rzekła przy tem ze łzami w oczach: Ale jako obywatele wtenczas dopiero zupełnie szczęśliwemi—o ile można na ziemi—nazwać się będziemy mogli, jeżeli ile sił naszych przyczyniać się będziemy do uszczęśliwienia ludu od Opatrzności, naszej opiece poruczonego. O tego i ja pragnę, z całej duszy mojej, odpowiedziałem, i w każdej potrzebie ratuję wieśniaka. To jeszcze nie dosyć, odrzekła z lubym uśmiechem, to jeszcze bardzo mało, ale wychować go, uzacnić, uszlachetnić go, toby wielką było zasługą przed Bogiem i przed narodem. Jakże to począć mówię, na to trzebaby chyba być księdzem. — O nie! odpowiedziała, ale trzeba księdzu pójść w pomoc. Moja myśl jest taka: Pozwól mi brać ze wsi od porządniejszych gospodarzy dziewczęta na wychowanie do dworu. Radabym mieć zawsze sześć dziewcząt przy sobie. Każda niech bawi we dworze dwa roki, przyjmowana w dziesiątym roku życia, w dwunastym oddawana będzie swej matce. Czytać powinna już umieć, gdy do mnie przychodzi. Pisać nie koniecznie. Bo ja nie będę dla nich żadnych otwierała kursów, ale pod okiem mojem, a pod opieką mojej panny służącej, która jest osoba rostropna i doświadczona, będę ich wychowywać w bojaźni bożej, w czystości, porządku i gospodarności i uczyć ich tego, co wieśniacze niewieście gospodarstwo wymaga. Jeść gotować, jak należy dla porządnej czeladnej kuchni, piec chleb, szyć bieliznę i uprawiać ogrodowe warzywa. Tego wszystkiego, nasze wieśniaczki, niestety, prawie całkiem nie umieją, a ich nieschludność i nieporządek rzeczywiście jest obrzydliwy. Chłopków naszych, ile tyle cywilizuje ich praca, i nieustanne styczności z wszelkiego rodzaju ludźmi po miastach i po wsiach. Ale niewiasty wiejskie, nic się nie ucząc, nic nie umiejąc, wielce dziczeją. I wyjąwszy niedzieli, że się jako tako muszą ubrać do kościoła, cały tydzień brudno i obdarto chodzą. Szyć nie umieją, chleba upiec nie są w stanie, tylko po miasteczkach go kupują, a prócz kartofli i kapusty nie umieją nic zgotować, tylko chyba tak zwaną zacierkę, która nie jest niczem innem tylko klajstrem z mąki i z wody.

Z największą chęcią przystałem na te życzenia mej żony, i wkrótce takich sześć dziewcząt zgromadziłem dla niej we dworze. Trzeba było widzieć jej roskosz niebiańską, gdy się niemi zajmować zaczęła! Była to jej lejbgwardya jak to nazwałem, w kościele i w domu, na przechadzce i w ogrodzie. Z początku jak sobie łatwo wyobrażasz, nie szło to bez trudności. Ale moja żona tak prędko i łatwo pozyskała sobie serca wieśniaczek, że dziś każda matka za wielkie to sobie poczytuje szczęście i zaszczyt, oddać swą córkę do dworu. Pierwsze warstwy naszego konwiktu już za mąż po wychodziły, parobki dobijają się o nie, a każda dotąd zasłużyła sobie na to, by moja żona opiekowała się nią dalej, i ją czasami odwiedzała w jej chatce.

Rozczulony, z rozrzewnieniem dziękowałem tej pani, w imieniu Chrystusa i kościoła jego, w imieniu narodu i ludzkości, i z głębi duszy życzyłem, aby im Bóg na ich dziatkach stokrotnie to wynagrodzić raczył. Wdzięcznie przyjęła te słowa, i mile odpowiedziała, że jej będą pobudką do wytrwałości w dobrem i zwalczenia wszelkich przeciwności, bo, dodała ze łzami w oczach, spojrzawszy na męża swego, dzieci ich kiedyś, na naszych grobach, za nas modlić się będą.

X. W. Serwatowski.

PRZYWYCZKI.

Komedya w 4 aktach.

(Ciąg dalszy.)

AKT II.

Scena I.

(Salon ten sam co w pierwszym akcie — z lewej strony okno. Pyszalski siedzi w wielkiem krześle z fajką i słucha; — Anna głośno czyta, Adam siedzi obok w zamyśleniu.)

Anna *(odejmując książkę— łagodnie.)* Może wujaszek się przespi?

Pyszalski. Nudnaś waćpanna — no proszę, przerywa mi w medytacyi sprawionej lekturą!

Anna. Ależ ja owszem wujaszku chcę czytać, tylko myślałam że ci to nieprzyjemnie.

Pyszalski. Co ty możesz myśleć! — czy która kobieta umie myśleć? słyszałeś panie Adamie, kobieta myśleć! No proszę! *(zżyma się.)*

Anna. Jednakże wujaszku, choć nie mamy wielkich pretensyj do wydoskonalenia nauk lub ich stwarzania, przecież myśleć potrafimy poważnie *(smutno)* a choćby tylko nad własną dolą.

Pyszalski. No proszę, słyszałeś panie Adamie, co za szumne frazesa! — a rozumiesz acpanna systemata filozofii, rozumiesz ty Szekspira i wszystkie ścisłe umiejętności?... Słyszysz ty panie Adamie!

Adam. Darujesz pan dobrodziej, ale ja w to wierzę, że i kobiety posiąść mogą wysokie ukształcenie, bo nawet takie znam.

Pyszalski. I ty Brutusie? — a toż Babel istny jak cię kocham, kobiety z berłem wiedzy w ręku, to amazońskie królestwo, to uzurpatorstwo dynastyj! Ot, kiedyś czytałem jakiejś autorki zbiór poezyj, same fiołki i niezapominajki.

Anna. A chociażby i taki skromny fiołek, to i to czasem pożyteczna strawa.

Pyszalski *(w gniewie.)* No proszę jeszcze dysputuje! a to świat się przewraca *(powstaje)*. Hm, ziurytowała mnie.

Anna *(całując go w rękę.)* Przepraszam drogi wujaszku, nie myślałam...

Pyszalski *(pochwytując mówi tryumfująco.)* A widzisz, że sama mówisz żeś nie myślała, a dopiero mówiłaś żeś myślała. Ot, to takie kobiet myślenie... *(zabierając się do wyjścia.)* Hm, no proszę, — w dysputę z mężczyznami.... *(uderzając się w czoło)* ze mną! — gdzie rozum, jak cię kocham! *(wychodzi nie patrząc na Annę i Adama.)*

Scena II.

Ciż sami prócz Pyszalskiego.

Adam *(przybliżając się.)* Biedna pani — wujaszek panią połajał, ale bo też uparty...

Anna. Bynajmniej, wujaszek sprzecza się więcej dla zabawki.

Adam. Dla swojej zabawki, to trochę za często pani przykrość sprawia.

Anna. Oh nie, on w gruncie dobry i szlachetny. Lecz pan nie w salonie, nie ze wszystkimi?

Adam. A dla czegóż pani nie jest razem z innymi?

Anna *(zmięszana.)* Ja co innego... ja mam zatrudnienia gospodarskie; ciocię muszę wyręczać...

Adam. Rozumiem — ale zbyt ciężko pani pracujesz.

Anna. Zkądże znowu? — to mi tak lekko przychodzi

Adam. Jakto, więcbyś pani nigdy nie zatęskniła za rozrywką, za jakiemkolwiek rozczuleniem duszy, za wypoczynkiem wreszcie wesołym, do którego pani masz prawo w gronie młodych i miłych osób? *(po chwili.)* Panno Anno, ja panią dawno uważam; — krzątanie się to pani ciche, pełne rezygnacyi i anielskiego spokoju w tym domu, w którym cię tylko znoszą, płacąc powinowactwo i poświęcenie kawałkiem strawy, ma swoją wielkość. Pozwól więc, że ja chociaż uczczę ją wyrażając najgłębszy mój szacunek *(schyla głowę.)*

Anna *(pragnąc łzy ukryć.)* Tyleś pan dobrego o mnie powiedział, a czyżem ja na to zasłużyła! jednak... jestem mu wdzięczną *(z uczuciem)* serdecznie wdzięczną

Adam *(na stronie.)* Czemuż Pawlina nie jest jej równą, *(głośno.)* Panno Anno, mam jednę prożbę do niej.

Anna Prożbę do mnie?

Adam. Tak jest *(na stronie.)* Powierze się jej, ona szlachetna, *(głośno.)* Wiadomo pani, że już od dawna znam państwa Pyszalskich i znam pannę Pawlinę...

Anna *(na stronie.)* Boże!

Adam. Niewiem jak się to stało żem się nią zajął, ale to tak *(biorąc się za czoło)* że tu krew bije, potem odpływa w serce i pali je szalonym ogniem.

Anna *(na stronie.)* Muszęż tego słuchać.

Adam. Nie będę długo mówił, nie umiem — to wiedz pani tylko, że ją kocham, mocno kocham, gdy ona...

Anna. Cóż ja tu poradzę?

Adam. O wiele — otóż to moja prożba! Powiedz pani, tyś jej siostra, jej przyjaciółka, powiedz czy ona mnie uważa, nie śmiem powiedzieć, czy kocha?

Anna *(na stronie.)* Jak ukryć srogą prawdę? *(głośno)* sama nie wiem...

Adam. Nie łudzę się bynajmniej — wiem, że mnie tak kochać nie zdoła jak ja ją, wiem, że lubi hołdy innych, — lecz darmo i taką ją kocham. Milczysz pani, boisz się żebym nie skonał! *(śmiejąc się boleśnie.)* O dziś nie te czasy, kiedy serce pęka trzeba się uśmiechnąć — i ja tak potrafię, więc powiedz.

Anna. Tak — ja pana szacuję więc powiem. Pawlincia tak jak pragniesz, nie kocha

Adam *(pochylając głowę.)* Wiedziałem.

Anna *(szybko poprawiając się.)* Nie kocha jeszcze.

Adam. Dosyć panno Anno — wiedziałem o tem, byłem prawie pewny, a jednak uczułem teraz dopiero ból prawdziwy; *(po chwili)* Dziękuję — szczerość pani jest mojem zbawieniem.

Anna. Więc ja panu zburzyłam szczęście?

Adam. Przeciwnie droga pani — paniś mnie uratowała. Dziś jeszcze wyjeżdżam, niebecność mnie wyleczy, wyleczyć musi — a teraz żegnam, a za przyjacielskie uczucie jeszcze raz dziękuję. *(Wychodzi szybko.)*

Scena III.

Anna *(patrząc za nim.)* Odszedł! — pocóżem mu powiedziała?... lecz powiedziałam prawdę. Pawlina jego jeszcze nie kocha, Pawlina nigdy go kochać nie będzie, nikogo:... bo jego nie, jego, o którym kiedy myślę nie czuję się sierotą, o którym kiedy marzę, tworzę sobie całe szczęście, — jedyne szczęście ja biedna. Odszedł — i już go nie zobaczę nigdy. Nigdy? — o nie! ja wierzę w niebieskie krainy, wierzę w litość Boga. Bóg się zlituje nademną, i albo mi wydrze z serca miłość ku niemu, albo nią jego natchnie. —

Scena IV.

(Pyszalska z hr. Obojętnickim.)

(Obojętnicki podstarzały kawaler siwawych włosów, sztywny a ugrzeczniony — na r naciska.)

Pyszalska. Otóż tak panie hrabio, jak rzekłam, smutno na wsi, bo nie mamy stosownej reprezentacyi.. — Andziu idź też poszukaj Pawlinci. *(Anna wychodzi.)*

Obojętnicki. Słusznie, lecz reakcya nastąpi *(patrząc przez okno.)* Piękny ogród, ja się na tem znam.

Pyszalska. Pan hrabia bardzo łaskaw — ot, sobie skromniutki, gdzież dzisiaj gdy imiona historyczne ciągłym

zmianom ulegają, warto instytuować coś wielkiego, odpowiedniego pozycyi i fortunie.

Obojętnicki (*na stronie.*) Fortunie *c' est bien* (*głośno.*) Słusznie, treściwie.

Pyszalska. Dla tego pomimo próśb Pawlinci pozostawiłam wszystko w dawnym stanie — czyż nie miałam słusznie?

Obojętnicki. Kompletnie (*patrząc na stolik.*) Widzę i literaturę tu uprawiają?

Pyszalska. Tak, trochę — popieramy to jak możemy,— wszak pan hrabia wiesz, że gdyby z nas kto dziś nie trzymał wszystkich dzienników polskich, nie kupował wszystkich powieści i poezyj, zaraz by krzyczano: arystokracya, panowie, historyczne imiona a dają podupaść ojczystym muzom. Oh! to prawdziwy despotyzm!

Obojętnicki. Słusznie — ale reakcya nastąpi.

Pyszalska. Pan hrabia słyszałam w naszych stronach myśli się osiedlić, radziłabym mu, bo choć nie ma wielkiej jak rzekłam reprezentacyi (*spuszczając oczy*) jest jednak kilka milutkich i pięknych domów.

Obojętnicki. Słusznie — a jużto dom państwa do nich bym najprzód policzył — ja się na tem znam.

Pyszalska (*uśmiechnięta*) Pan hrabia bardzo łaskaw.

(*Wchodzi Tarabański, Jaś, Pawlina i Adam.*)

Scena V.

Pyszalska. A zkądże całe towarzystwo?

Pawlina. Z ogrodu mameczko, papa jeszcze został.

Pyszalska. Pawlinciu — pan hr. Obojętnicki. Panowie się nie znają. (*Przedstawia.*)

Tarabański (*na stronie.*) A to co za sztywna lala?

Pyszalska. Otóż na poparcie moje niech Pawlincia powie czy się u nas bawią.

Pawlina (*do Obojętnickiego.*) Czyżbyś pan był tak źle przeciw naszej okolicy uprzedzony?

Obojętnicki. Owszem jak najlepiej.

Pawlina (*z kokieteryą.*) A ja nawet więcej powiem — u nas nietylko umieją się dobrze bawić, ale nawet rozcucać z letargu, nieprawdaż panie Przyzwoliński?

Jaś (*niewiedząc co mówić.*) Tak jest... z letargu...

Tarabański (*patrząc na Adama.*) A ja jeszcze dodam, że umieją i w letarg wprowadzać.

Obojętnicki (*z ironią.*) To prawdziwie cudowna okolica, prawdziwie miło w takiej zamieszkać.

Tarabański (*nagle.*) Pan zamyśla?

Obojętnicki (*obojętnie.*) *C' est selon.*

Jaś (*przyskakując.*) A radziłbym panu dobrodziejowi, ziemia śliczna, wypasy okrutne, jak mamę kocham.

Pyszalska (*zawstydzona.*) Jużto pan Przyzwoliński tradycyonalista prawdziwy szlachecki — tak zapalony do gospodarstwa!

Jaś. Pani dobrodziejko, jedna to rzecz którą tęgo rozumiem, niech sobie inni rezonują, o czem im się podoba.

Obojętnicki. Bardzo słusznie — ja się na tem znam.

Tarabański (*na stronie.*) Jest na czem.

Pyszalska (*do Adama który szeptał z Pawliną.*) Panie Adamie, dawno nie słyszeliśmy go śpiewającego.

Pawlina. Właśnie też o to usilnie proszę — ale pan Adam czegoś nie usposobiony.

Adam. I owszem, jeżeli państwu mogę przyjemność zrobić.

Tarabański. Brawo, słuchamy.

Jaś. Prześlicznie, jak mamę kocham, ja tak lubię krakowiaki.

Pawlina. A więc proszę.

(*Wszyscy przechodzą do drugiego salonu, — zostają:*)

Scena VI.

(*Obojętnicki i Pyszalska.*)

Pyszalska. Pan hrabia kultywuje muzykę?

Obojętnicki. Bardzo.

Pyszalska. My zawsze urządzamy sobie malutkie *soirée* muzykalne, Polcia moja jest śpiewająca, pan Chrobrzyński także bardzo ładnie śpiewa.

Obojętnicki. Doktór podobno.

Pyszalska (*zmięszana.*) A tak jest, doktór — jak to pan hrabia pojmuje ... różne osoby przyjmuje się w towarzystwie, np. p. Chrobrzyński nawet nie szlachcic, niskiego urodzenia, doktór do tego, ale ogładzony i ... bywa wszędzie, dla tego trudno go nie przyjąć.

Obojętnicki. A słusznie.

Pyszalska. Przytem umie nas bawić, a o to na wsi tak trudno i — drugi pan Tarabański niby szlachcic, chociaż wątpię, bom nigdzie o nim w Niesieckim nie czytała, ale... bogaty i bywa także w towarzystwach, więc trudno zabronić wstępu, nieprawdaż p. hrabio?

Obojętnicki. Najsłuszniej.

Pyszalska. Trzeci pan Przyzwoliński wprawdzie wieśniak i młody jeszcze, ale z bardzo pięknym historycznym imieniem, więc trudno nie przyjmować, (*wzdychając.*) O tak, tak, mało jest już karmazynów, świat nowy, jakieś demokratyczne dążenia, na których my najwięcej cierpimy...

Obojętnicki. Tak, tak — ale reakcya nastąpi.

Pyszalska. Łatwo więc nam wybaczyć, że więcej uważamy na szranki konwenansu, oddalając ile możności cisnący się nawałem motłoch, nieprawdaż panie hrabio?

Obojętnicki. Najsłuszniej — ja się na tem znam.

Pyszalska. A teraz może pójdziemy do salonu posłuchać muzyki. — Pawlincia śpiewa.

Obojętnicki. Najchętniej. (*wychodzą.*)

Scena VII.

(*Adam wchodzi zwolna.*)

Adam. Niech śpiewa ... wesoła!—Ja ... cierpię. Cierpię, choruję na serce, ja doktór medycyny! — Kocham ją dla czego? Czy ona mnie kocha? — nie. Czym olśniony blaskiem jej przymiotów? nie, ona ich nie posiada (*wstrząsając się.*) Nie, — ja za zimny, ona za figlarna, ona prawdy uczucia nie pojmie. Nie — ja jej nie kocham.

(*Tarabański wchodzi szybko.*)

Scena VIII.

Tarabański (*mocno poruszony mówi*) Wyszedłem za tobą Adamie, chcę mówić raz z tobą, chcę mówić głośno, gorąco, ogniście, wrząco — o niej, o Pawlinie, w której się rozszalałem, rozumiesz?

Adam. Mówisz tak wymownie.

Tarabański (*urażony.*) Wymownie. — Czy szydzisz? — Dobrze bracie szydź, gniewaj się, obrażaj się, — dokucz mi abym cię mógł ścisnąć w ramionach, ażby ci dusza wyskoczyła.

Adam (*z ironią.*) Tak — z przyjaźni zapewne.

Tarabański. Tłumacz jak chcesz — tylko nie bądź spokojny, bo tak nie mogę się na ciebie gniewać, a ja chcę abyśmy zawrzeli oba piorunami (*patrząc się bystro na Adama.*) Ty ciągle szeptasz z Pawliną, ty jej mówisz, że się kochasz, ona mówi ci to samo, nieprawda?

Adam (*spokojnie.*) Bredzisz Michale.

Tarabański (*wzdychając.*) Do stu piorunów! bredzę to i dobrze. Jak tu nie bredzić, kiedy się człek kocha bez pamięci w ślicznej kobiecie, a tu mu ją capią z pod nosa.

Adam. Capią z pod nosa (*z godnością.*) Dość Michale— upamiętaj się, że nie jesteś moim mentorem, że co zniosę od przyjaciela, nie zniosę od natrętnika.

Tarabański (*z pasyą.*) Natrętnika? — a więc dobrze, mówiłem ci, że kula między nami rozstrzygnąć musi.

Adam (*podnosząc rękę.*) Rzecz skończona.

Tarabański. Kiedy?

Adam. Jutro — pół mili ztąd za leśniczówką.

Tarabański. Nie zapomnę.

Adam. Ani ja.

(Tarabański odchodzi, w połowie drogi wraca się — a podając Adamowi rękę mówi rzewnie:)

Tarabański. Adamie, — przyjacielu — strzelać się będziemy, ale . . . gdyby nie ona, kochalibyśmy się zawsze. *(Wychodzi.)*

Scena IX.

(Adam później Jaś.)

Adam. Miłość rozrywa węzły przyjaźni — a mówią, że przyjaźń stalsza. Miłość przekształca ludzi, z cichych robi namiętnych, z szyderskich łagodnych. Ze mnie zrobiła — smutnego, więc ją kocham.

Jaś *(wbiega trzymając pakiet nut pod pachą.)* Panie doktorze — co pan robisz? — wszyscy na pana wołają żebyś pan śpiewał, — ja tu niosę jakieś waryacye a pan jak mól siedzi.

Adam *(nieuważając.)* Pawlina dała mi *rendez-vous*, miałem odjeżdżać, stawić się czy nie?

Jaś *(krzycząc mu w ucho.)* Ależ panie doktorze — waryacye.

Adam *(tupiąc nogą.)* Do pioruna.

Jaś *(przyskakując)* Co to — pan znowu?

(Adam nie zważając na Jasia wychodzi.)

Scena X.

Jaś *(rzucając nuty o ziemię.)* Hm, waryacye! — niech was wszystkie waryacye! — to mi się podoba! — Zawsze szuka ze mną sprzeczki, ale czekaj jak cię raz przydybię, to zginiesz jak mucha, jak mamę kocham. — Pasyonat jakiś! Ciągle mi docina. Poczekaj! *(zamyśla się)* — albo nie, ja go dziś jeszcze zaczepię i bić się z nim będę. Choćby na kije. *(Przechodzi się wielkiemi krokami.)* Robią wszyscy ze mną co się im podoba, cały dzień nudzę się, — bo proszę państwa jak się tu nie nudzić, kiedy ciągle tylko rozmawiają, śpiewają i grają. — A niech się mama gniewa lub nie, ja zaraz wyjeżdżam. *(Zastanawia się.)* A prawda! — pojedynek! *(z determinacyą.)* No to krótko, dziś doktora zastrzelę, a jutro pojadę. *(Odchodzi znów wraca.)* Aaa . . . panna Pawlina! — dziś ścisnęła mi rękę i rzekła takim słodziuchnym głosem jak ulopek: Panie Janie—ona mi Janie powiedziała—bądź pan za dwie godziny w ogrodzie, pomoże mi pan kwiatki zbierać. Hę, hę, ja się na tem rozumiem, ja nie taki głupi, — za dwie godziny będę, jak mamę kocham!

(Zasłona spada.)

KONIEC AKTU DRUGIEGO.

AKT III.

Scena I.

(Ten sam salon.)

Pawlina *(siedzi czytając książkę.)* Śliczny romans, co za imaginacya! — Niechże mi tu ganią francuzkich powieściopisarzy, czy się gdzie można czuć więcej mile wzruszonym jak tutaj *(kładąc książkę.)* Dość jednak tych książkowych romansów, wróćmy do rzeczywistości. Rzeczywistości? a czyż całe życie nie jest także romansem? — naprzykład moje. — Od jak dawna zapamiętam zawszem miała pełne miłych wrażeń, pełno malutkich wspomnień i pamiąteczek, które drażnią i rozrywają. Śmiać mi się jednak chce, kiedy myślę o moich czterech konkurentach — bo przecież hrabiego do nich policzyć muszę dał mi to do zrozumienia namiętnem słowem „reakcya“ Tarabańskienergicznem zaklęciem się, młodziutki Jaś przysięgą, że jeszcze nigdy taki głupi nic był przy nikim jak przy mnie, — a Adam *(z zamyśleniem się.)* Adam, — no ten mi tego nie powiedział, ale gdzież jego dawna szyderskość, i cały zastęp mezkiej pychy? — Wszystko się rozwiało, a został tylko żar w oku, który mnie niewymownie cieszy. Cieszy, bo to rozkosz widzieć wszystkich u nóg z giętem czołem, a że Adam dziś jest takim, stokroć mnie cieszy więcej, on . . . którego gdybym nie nawidziła, kochałabym szalenie, on którego wzrok wprawia mnie w strach jakiś . . . Dość tego . . . *(bierze książkę napowrót i siada.)*

Scena II.

Pyszalska *(z herbarzem w ręku.)* Jesteś Pawlinciu — dobrze, chciałam z tobą pomówić.

Pawlina *(obojętnie.)* Słucham.

Pyszalska *(siada.)* Pawlinciu dobrze się bawisz?

Pawlina. A toż co? — Mama zaczyna dyplomatycznie, bawię się jak od dawnych lat, ciągle jednako dla tego nudnie.

Pyszalska. Zawsze się bawić nie można.

Pawlina. Tak? — a cóż mam robić?

Pyszalska. Potrzeba trochę i myśleć o sobie.

Pawlina. Pocóż — alboż nie mam takich co o mnie myślą?

Pyszalska *(na stronie.)* Moja krew, drogie dziecko *(głośno udając surowość.)* To też dla tego córko.

Pawlina *(z ironią.)* O, o, — córko!

Pyszalska. Widzisz dziecię, dla tego że o tobie myślą, potrzeba żebyś i ty o jednym pomyślała.

Pawlina. Jeszcze czas mam.

Pyszalska. Niekoniecznie Pawlinciu, — dziś jest już najstósowniejszy i najstósowniejsze okoliczności.

Pawlina. Jakież?

Pyszalska. Najprzód powiedz, czy kochasz pana Tarabańskiego?

Pawlina *(zimno.)* Ani trochę — ale cóż to przeszkadza?

Pyszalska. A Przyzwolińskiego?

Pawlina *(śmiejąc się.)* Jego? — mama żartuje?

Pyszalska *(na stronie.)* Drogie dziecię *(głośno.)* A hrabiego?

Pawlina. Ależ mamo — do czegóż to mamie potrzebne?

Pyszalska. To jest potrzebne lub nie — . . . . . tylko że widzisz: hrabia ślicznej familii *(otwierając herbarz)* i jak tu czytam miał w rodzie kilku kasztelanów; — więc takim nie godzi się pogardzać, historyczne imię! a chociaż on fortuny nie ma, ty ją masz.

Pawlina *(ziewając.)* Wszystko zrobię co mama zechce, ale powiedz też dla czego mi się o Adama nie pytasz, a on przyznam się mamie najniebezpieczniejszy.

Pyszalska *(zrywając sie z miejsca.)* Kto on?— plebejusz nieznanego imienia, córko miałażbyś pomyśleć?! *(z emfazą.)* Ha! na samo wspomnienie truchleję!

Pawlina. Pomyśleć — możem i pomyślałam—ale od zamysłu do uskutecznienia daleko.

Pyszalska *(całując ją w czoło.)* Jak to, co innego. — Tyś moja krew drogie dziecię.

(Wchodzi Obojętnicki, staje we drzwiach i wówi:)

Scena III.

(Obojętnicki, Pyszalska i Pawlina.)

Obojętnicki *(na stronie.)* Jakaś familijna scena — ja się na tem znam.

Pyszalska *(obracając się.)* A! pan hrabia! — prosimy, prosimy.

(Obojętnicki bierze stołek.)

Obojętnicki. Hm, śliczny czas.

Pawlina. Rzeczywiście, tak ciepło . . .

Pyszalska. Co mówisz Pawlinciu, wczoraj było cieplej.

Pawlina. Ależ nie, mameczko.

Obojętnicki. A jużto daruje pani — ale panna Pawlina ma w tym razie słuszność, ja zupełnie tegoż zdania jestem.

Pyszalska *(z uśmiechem.)* Ah, bo to wy młodzi zawsze ze sobą.

Obojętnicki *(na stronie.)* Cóżto kpi? *(głośno.)* Ja zawsze za prawdą — panie się dziś nie przejadą?

Pyszalska *(do Pawliny.)* Nie wiem — jak uważasz Pawlinciu?

Pawlina E! pocóż mamo — w domu najlepiej.

Obojętnicki *(skwapliwie.)* Tegoż samego zdania jestem, w domu najlepiej, ja także ogromny domator *(z westchnieniem)* żebym tylko miał coś takiego, coby mnie jeszcze więcej do domu przywiązać mogło . . .

Pyszalska. To prawda panie hrabio — że mieć tylko zajęcie . . .

Obojętnicki. Więcej jak zajęcie, mieć w domu szczęście. *(na stronie.)* Głupstwa jakieś plotę.

Pyszalska. Tylko że to o to dziś tak trudno . . .

Obojętnicki. Owszem, nie tak pani jak się zdaje, trzeba tylko mieć odwagę, ja się na tem znam.

Pyszalska *(udając zdziwienie.)* Nie rozumiem właściwie.

Pawlina. Ani ja.

Obojętnicki. *(powstając, mówi uroczyście)* Więc krótko powiem. — Jak państwu wiadomo, jestem hrabią, mam wielki majątek troszkę zrujnowany, ale reakcya nastąpi, a przytem sperandy ogromne — jestem nie najgorszy człowiek i *pas du tout laid* — pannę Pawlinę mam honor kochać.

(Pyszalska i Pawlina udając zdziwienie.) Ah!

Obojętnicki. Przeto ośmielam się o jej rękę prosić szanownych państwa.

Pyszalska. Prawdziwie, to tak nagle . . . a zresztą cóż Pawlincia? . . .

Pawlina *(podając rękę hrabiemu.)* Jeżeli mama zezwoli.

Obojętnicki. Oh panno Pawlino!

Pyszalska. Błogosławię was dzieci.

(Otwierają się drzwi wchodzi Pyszalski z Jasiem.)

Scena IV.

Pyszalski. No proszę! — a co oni tu robią, patrzno Jasiu, jak cię kocham — hrabia promieniejący jak Jowisz, Pawlincia jak Semete.

Jaś. A prawda, jak mamę kocham.

Pyszalska *(z nadętością.)* Mężu, pan hrabia prosi o rękę Pawlinci.

Pyszalski *(z zadziwieniem.)* Prosi? — no proszę, dalibyśmy mu i bez proszenia. Brawo, brawo, zgadzam się — chodź zięciu przeczytam ci odę napisaną przezemnie białym rymem, powiadam ci dźwięk hexametru, prześliczna skanda *(bierze go pod rękę i wychodzą.)*

(Jaś stoi z otwartą gębą.)

Pawlina *(śmiejąc się.)* No i czegóż się pan tak dziwisz?

Jaś. Czego? — a to nie ma czego; — a przecież panna Pawlina *(ciszej)*, przecież ja nie głupi, — mówiła mi panna Pawlina że mam kwiatki zbierać.

Pawlina. A cóż panu przeszkadza?

Jaś. Jakto co przeszkadza? — no proszę! teraz toby i moja mama nie zrozumiała, a przecie p. hrabia Obojętnicki ma się z panią żenić?

Pyszalska. Tak jest, panie Przyzwoliński.

Jaś *(gapiowato.)* Na prawdę, pani dobrodziejko?

Pyszalska. Naprawdę.

Jaś *(z energią.)* Kiedy tak, to ja tu nie mam co robić, jadę, żegnam państwa — zapewne mam się pokłonić mojej mamie.

Pyszalska. Ależ panie, to nie przeszkadza.

Jaś. Ale owszem, pani dobrodziejko, bardzo przeszkadza... żegnam *(wychodzi — Pyszalska idzie za nim mówiąc:)* Ależ pozwólże pan przecie.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ANNA JAGIELLONKA

KRÓLOWA POLSKA.

(Z wiadomościami o całej familii Zygmunta Starego.)

(Dokończenie.)

Małżonkowie mieli tylko powszechne dobro na celu: miłości, wiek oblubienicy niedozwalał. Przykremi musiały być dla naszej Anny przejścia 1576 r., przykre to stanowisko ściśle polityczne w sprawach serca.— Rubaszny dowcip Polaków, nieraz zapewne dosiągł nieharmonii wieku między małżonkami: A biedna stara panna była głównym jego celem, bo w paszkwilu na obiór króla Stefana, w pamiętnikach Broel Platera nam zachowanym, odzywa się Anna królowa po ślubie z Stefanem:

Wielbi dusza moja pana. —

A polskie matrony pokazują na nią i mówią: Pięćdziesięcioletnia.

Stosunek Anny do Batorego pozostał do jego śmierci ściśle patryotycznym stosunkiem. Anna szanowała w nim wojownika i bohatyra Polski, Stefan czcił ją jako pomocnicę w domowych pracach, jako stróżkę narodowego obyczaju. Rzadko mieszkali razem: Stefan trawił czas w obozach i na sejmach, Anna modliła się o pomyślność jego broni, urządzała majątki królewskie, pilnowała kościołów i dworu królewskiego. Nie słyszymy żadnej najmniejszej skargi, żeby się królowa miała mieszać w rządy albo z królem żyć w niezgodzie. Z listów jej, z tej epoki pozostałych poznajemy różnorodne jej prace i starania. Z Hozyuszem i Stanisławem Reszką, bawiącymi w Rzymie koresponduje względem spraw barskich, z ostatnim względem sojuszu chrześciańskiego na wojnę turecką, która była ulubionym Batorego planem.

Do ks. Stanisława Zająca, proboszcza kaplicy Zygmuntowskiej przy kościele wawelskim, pisze względem porządku i ozdoby kaplicy, przy każdym liście brakujące naczynia posyłając. Poleca króla, siebie i nieboszczyków krewnych, osobliwie zaś brata Zygmunta Augusta, modłom pobożnym. Toż do księży Borantystów i Mansyonarzy. Księdza Reszkę upomina, aby probostwo warszawskie albo spuścił, albo pilniej administrować kazał. Bo królowa Anna znała się na nabożeństwie i jego ceremoniach, jak duchowny, mówi Skarga. I znowu w listach do wielkorządcy krakowskiego, Maleczkowskiego czytamy rozkazy w sprawach świeckich, względem odnowienia i odbudowania łobzowskiego pałacu, wypuszczenia dzierżaw i t. p. Możecie wypuścić Swoszowice Waxmanowi, na trzy lata, ale jeżeli *jest katolik a nie heretyk.* W listach do kobiet wreszcie ułatwia sprawy swego fraucymeru, przyjmuje i oddaje pod protekcyą poruczone sobie sieroty. Wysyła młodzież na naukę za granicę, poleca ją znakomitym mężom — to znowu panny swe wydaje za mąż i wyposaża. Jakby dla uzupełnienia tego różnobarwnego obrazu mamy w ręku karteczkę Anny treści prawie komicznej na królowę potężnego narodu. Adresowana jest do jakiejś panny Myśliniskiej w Krakowie:

„Panno Myśliniska, prosimy, kup nam krupek jęczmiennych, co najpiękniejszych, drobnych, białych, chędogich, bo co przy nas, są nie dobrze zdrowe; a pośljicie je nam, jako najprędzej być może, korzec jeden krakowski.“

Piękny to zawsze przykład prostoty dawnych niewiast naszych. Królowa, która myślała z królem i narodem o wielkich zapasach chrześciaństwa z tureczczyzną, która pilnem okiem śledziła sejmy, prosząc Boga o ich zgodę

i dobry skutek, taż sama królowa pamiętała o potrzebach swej kuchni. Nasze panie większą częścią niemyślą o tak wielkich kwestyach, ale zajęcie salonem, modami, zabawami, nie pozwala im wglądać do spiżarni.

Dziesięcioletnie panowanie Stefana i Anny jest może najświetniejszą w dziejach Polski epoką. W krótkim czasie partya cesarska upadła przed energią, taktem i pobłażliwością Stefana, zbuntowani Gdańszczanie ulegli przemocy, a wielka wojna północna, punkt honoru narodu, podjętą została za należytem przygotowaniem, z potęgą i usilnością, jakiej Polska dawno nie widziała. Zwycięzkie zastępy zapuściły się w głąb obcego kraju. Wojna cała była jedną heroiczną epopeją. Jak zwykle cesarz i papież zniszczyli jej owoce, pierwszy przez obawę wzrostu Polski, drugi przez błahe nadzieje pozyskania cara dla katolicyzmu. Powtórzyła się historya z roku 1514, kiedy po bitwie orszańskiej cesarz i papież zapośredniczyli pokój z Moskwą. Dziś tę rolę odegrał ich poseł jezuita Posserin. Stefan w traktacie w Kiwerowej horce odzyskał Inflanty i Połock, ale związał sobie ręce na zawsze. Papież wkrótce się przekonał, że syn kościoła Iwan Wasilewicz nie myśli o kuryi rzymskiej.

Ale ważniejszą jeszcze jest wewnętrzna Batorego działalność. Batory oparł się całkiem na Janie Zamojskim, człowieku wyszłym ze szlachty, wysoko wykształconym i prawdziwie genialnym. Niechcąc być „malowanym królem“ dążąc jeźli nie do samowładztwa, to do powiększenia powagi swej królewskiej, i do ustalenia sukcesyi, musiał zwrócić się najpierwej przeciwko tym, którzy dzierżyli w ręku swoim wielkie znaczenie i potęgę, a ambitnemi myślami po za obręb królestwa sięgali: przeciw możnowładztwu. W tym celu podniósł bohatyra i przewodnika szlachty Zamojskiego, do pierwszych zaszczytów i ożenił go z Gryzeldą Batorówną. — W tym celu ustanowił trybunały, chroniąc szlachtę od samowoli panów. Ofiarą tej polityki padł nareszcie Samuel Zborowski, upadł cały ten dom przemożny, od kilkudziesięciu lat wichrzący Polskę egoistycznemi dążeniami, wzrosły u obcych i nieprzyjaźnych krajowi ołtarzy. Pod koniec panowania Stefana widzimy panów wylękłych i posłusznych, ale i szlachtę nurtowaną śmiertelną o swoje wolności obawą. Śmierć jego przedwczesna przeszkodziła niestety wprowadzeniu w życie tych wielkich zamiarów, które Polskę uratować miały.

D. 12 grudnia 1586 r. umarł król Stefan w Grodnie po krótkiej chorobie. Owdowiała Anna ujrzała się znowu samą, ujrzała rzplitę w srogiem niebezpieczeństwie elekcyi. Stanowiskiem swojem poważniejsza niż pierwej, czuła obowiązek wpływania na obiór. Cóż dziwnego atoli, że jej stęsknione za rodziną serce owładnęło tym razem polityką niewieścią, że szczęście własne i kraju widziała w elekcyi syna ukochanej, zmarłej już siostry Katarzyny szwedzkiej, w obiorze Zygmunta III. Wychowany w wierze matki, obznajomiony z obyczajem polskim nie znany jej dotąd królewicz, zdawał się obiecywać powrót złotych czasów jagiellońskich, zdawał się w możności odnowienia tego patryarchalizmu, który naród z jego przodkami po kądzieli połączał. Niestety! natura Zygmunta była tylko przedrzeźnieniem usposobienia Jagiellonów. Zaufany mocno w królewskiej powadze, nie miał otwartości, pobłażliwości i ludzkości przodków, zagorzały katolik nie podzielał ich ewangelicznej tolerancyi wyższej nad wiek w którym żyli, nadewszystko zaś nieposiadał ich wysokiej mądrości politycznej. Ale nieprzewidywała tego Anna i dla tego wszelkiemi siły do jego obioru dążyła.

Przygniecione żelazną ręką Batorego namiętności, powstały z dziwną sprężystością po jego śmierci. Elekcya Zygmunta przedstawia nam smutny widok symptomatów w narodzie, których na przeszłych nie było. Pierwszy raz splamiła się świątynia wolności pieniędzmi pretendentów — pierwszy raz splamiła się krwią bratnią, — pierwszy raz przyszło do formalnego starcia dwóch królów, przez partye przeciwne obranych. Zborowscy płonąc zemstą o śmierć Samuela i Krzysztofa banicyą, korzystając z niebytności kanclerza, pozyskali prymasa (Stanisława Karnkowskiego) i zawichrzyli sejmem konwokacyjnym na korzyść domu rakuskiego. Obok nich różnowiercy, przestraszeni postępami katolicyzmu gwałtowniej natarli na duchowieństwo. Kilku biskupów opuściło sejm, który zaledwie Sulikowski i Goślicki, przenosząc patryotyzm nad nietolerancyą uratować zdołali.

Królowa Anna tymczasem pracowała szczerze dla siostrzeńca. Zaraz po śmierci męża, wysłała była Marcina Leśniowolskiego, kasztelana podlaskiego, zdatnego dyplomatę *) do króla Jana szwedzkiego, prosząc go aby syna co prędzej przysyłał. Sto tysięcy złotych (milion dzisiejszych) poszło ze szkatuły królowej na popieranie wyboru.

D. 30 czerwca 1587 r. zebrał się burzliwy sejm elekcyjny. Zborowscy przybyli z ogromnym tłumem zagranicznego żołnierstwa i stronników, opajanych przez bogatego ich przyjaciela Górkę. Zamojski nie czując się bezpiecznym stanął po drugiej stronie Wisły z licznemi hufcami. Był on w przykrem położeniu: niewiedział, komu głos dać na króla. Posądzano go o forytowanie Andrzeja Batorego, kardynała; może i słusznie. Wnet atoli poznał, że ten nie posiada żadnych warunków, prócz osobistych. Zborowscy szerzyli potężnie propagandę cesarską, sparci na różnowiercach zarówno jak na legacie Annibalu z Kapuy. Nie miał więc Zamojski innego sposobu, jak poprzeć żądania Anny i w tym celu do niej się udał, przyjechawszy do Warszawy. — Pozyskanie takiego stronnika musiało upewnić królowę. Przyjazd Marcina Leśniowolskiego, który o królewicza obyczajach i zdolnościach najchlubniejsze dał świadectwo, obok coraz rosnącej gwałtowności Zborowskich, skłaniał wielką liczbę senatorów do przejścia na stronę kanclerską, czyli tak zwaną czarną. Kanclerscy albowiem przyjechali w żałobie po zmarłym Stefanie.

Przejście prymasa dokonało reszty, przybliżyło atoli zarazem stanowczy rozłam partyi. Zborowscy oburzeni jego przejściem ruszyli wojsko i armaty ku miejscu, gdzie obradowali senatorowie. Ten gwałt wolności oburzył wszystkich. Zamojski uszykował swoich i za chwilę miało przyjść do walki. Annibal z Kapuy przypatrywał się z wieży św. Jana na mającą się stoczyć bitwę.

Wtedy sędziwy prymas, dosiadłszy konia, zaklinaniem i błaganiem odwlókł straszną chwilę starcia. Zborowscy jęli parlamentować z Zamojskim.

Nadzieje Anny chwiać się poczęły. Król szwedzki słabo popierał sprawę swego syna. Znękany, niechętny, ciężki, nie chciał go oddalić od swego boku. Królowa wyszafowała wszystkie zapasy pieniężne, szwedzcy posłowie nie mieli grosza na poparcie elekcyi. Z łzami w oczach doniosła Anna Zamojskiemu o tym rozpacznym stanie sprawy siostrzeńca.

Wszystko polegało na energicznym kroku. Uczynił go Stanisław Karnkowski. Widząc niebezpieczeństwo zwycięstwa Zborowskich, ogłosił królem Zygmunta szwedzkiego i w licznym tłumie stronników odśpiewał *Te deum* w kościele katedralnym.

*) Pomnik Marcina Leśniowolskiego znajduje się w kościele Panny Maryi w Krakowie. Gdzie podziwienia są piękne rysy, i szlachetna postać rycerza.

W odpowiedzi na ten krok, Zborowscy obrali i ogłosili królem arcy-książęcia Maxymiliana w kościele OO. Bernardynów. Jeden tylko biskup, dopiero nominat, Jakób Woroniecki dał się użyć do świętego obrzędu.

Nowe kłopoty i niebezpieczeństwa czekały biedną Annę. Zborowscy postanowili prowadzić wojnę o swego króla, ubiegli Wiślicę i Maxymiliana do zbrojnego wkroczenia przynaglili. Król szwedzki ociągał się z przysłaniem syna. Anna, chcąc pozyskać przychylność dla niego, obiecała Polsce wyjednać Est nią, która miała powiększyć Inflanty. Nie wachała się nawet zabezpieczyć pewność swego przyrzeczenia na całym swoim majątku. Król szwedzki nie chciał słyszeć o ustąpieniu Estonii. Posłany powtórnie Leśniowolski wyjednał nareszcie wysłanie Zygmunta, który atoli przysiągł ojcu, że Estonii nie odstąpi.

Królewicz stanął w Gdańsku. Równocześnie Maxymilian zbliżał się do obwarowanego przez kanclerza Krakowa a Erazm Lichtenstein zamyślał napaść miejsce przejazdu króla Zygmunta, Piotrków. Anna, 64-letnia staruszka, wiedziona miłością ku siostrzeńcowi nie wachała się stawić czoło niebezpieczeństwom i do Piotrkowa zagrożonego pospieszyć. Ruchy wojenne Zamojskiego odwróciły Lichtensteina i w Piotrkowie stęskniona ciotka ujrzała po raz pierwszy ukochanego siostrzeńca i jego siostrę Annę, królewnę szwedzką.

Zygmunt liczył lat 24. Blady, nieruchomych rysów, milczący, melancholijno-flegmatycznego usposobienia był w całem znaczeniu tem niemem diablęciem, jakiem go Zamojski przezwał. Anna przeciwnie żywa, wesoła, pełna wyrazu, przypominała żywo Katarzynę Jagiellonkę. Lubiła zapamiętale kwiaty, poświęcała się naukom, szczególnie przyrodzonym *). Królowa ukochała szczerze siostrzenicę. W listach swoich nazywa ją swoją drogą Anusią.

Niebezpieczeństwo nie mijało. Litwa cała była przeciwną Zygmuntowi. Anna czuła się obowiązaną w długim liście nakłonić do zgody naród z którego wyszła. Odsyłamy czytelniczki nasze do 5 tomu „Zbioru pamiętników Niemcewicza,“ (k. 295). Pojąć z niego łatwo, jak głęboko rozumiała Anna sprawy rzpltej, jak wtajemniczoną była w miłosną i wyrozumiałą politykę swoich ojców. List jej nie został zapewne bez skutku, bo Litwa chociaż obrażona nieuwzględnieniem swych głosów na elekcyi, zaczęła przechodzić na stronę Zygmunta. Dzielne odparcie Maxymiliana z pod Krakowa i sławne zwycięstwo Zamojskiego pod Byczyną, gdzie arcy-książe i główni jego stronnicy dostali się w niewolę, dokonały dzieła. Królowa ujrzała siostrzeńca na ubezpieczonym tronie.— Odprawiwszy pogrzeb Stefana, przystąpiono do koronacyi Zygmunta 1588 r.

Odtąd życie królowej Anny schodzi z widowni politycznej. Przygnieciona starością, znękana trudami oddała całe swe serce familii królewskiej. Bawiąc to w Warszawie, to w Nowym Mieście, (Korczynie) zostawała w ciągłych stosunkach z królem i jego siostrą, których uważała za swoje dzieci. Ona trzymała do chrztu pierwszą córkę Zygmunta. Wpływ jej musiał być błogim i neutralizować do czasu nienawisłą obczyznę i ceremonialną sztywność siostrzeńca. W liście z dnia 26 września 1591 r. do niego pisanym, upomina go, aby odwiedził starostę piotrkowskiego, i był na jego weselu, na które sama pojechała. „W. k. m. bezpiecznie to uczynić możesz bez naruszenia najmniejszego swego stanu królewskiego, bo acz ci wprawdzie królowie polscy niezwykli nikomu prowadzić żon, ale zwykli wszelką uczciwość pokazywać krewnym swoim, jakiej my się od w. k. m. spodziewamy“. Widać z tego, że Anna starała się nakłaniać Zygmunta do popularności, którą stali mocno jego poprzednicy, a której zamknięty w kamarilli Jezuitów i dworaków zjednać sobie nie umiał. Nie słuchał Zygmunt rad ciotki i źle na tem wyszedł. Najznakomitsi senatorowie, Prymas sam i kanclerz Zamojski przeszli na stronę opozycyi. Niecharmonia między królem i narodem wybuchła po śmierci Anny i kanclerza, w rokoszu Zebrzydowskiego.

Królewna Anna często bawiła przy starej ciotce. Z dnia 1 stycznia 1592 roku, mamy list królowej do Zygmunta, donoszący, że się z siostrzenicą wybiera w podróż do króla. „Tylko nas mój najmilszy a miłościwy królu bardzo niebezpieczeństwem od moru i bardzo złą drogą i wodami straszą. Z strony moru przestrzegłbyś nas w. k. m. ale w drodze może będzie maczanina, a co gorsza, niepewne lody. Co w. k. m. rozumiesz, jaki wrzask, jaki trzask być może: królewna (Anna) jako drab nie boi się nic, ale my, będąc bardzo lękliwą, byśmy mogli, hajduków byśmy przyjęli, a we złych raziech przenaszać się im kazali: jednak także przecie do w. k. m. wyjeżdżamy.“

Nieodrodna od naszych pań królowa bała się więc złej drogi, „wrzasku i trzasku.“ Być może, że i ów Magnus duński, konkurent królewny z r. 1556 nieotrzymał jej ręki z przyczyny swego zamorskiego mieszkania. Dla tego przynajmniej dostał inny duński książe koszyka od Elżbiety, córki Kazimierza Jagiellończyka a ciotki naszej Anny.

Z dnia 24 września 1595 roku datuje się ostatni list królowej nam znajomy. Dziękując za doznane względy Zygmunta, posyła owoce z swego warszawskiego ogrodu. „Ale bardzo prosimy, aby też najmilsza nasza Anusia uczestniczką ich była i za pomerańcze je od nas miała“ Pisała go po ostatniej podróży do Krakowa, którą odbyła krótko przedtem, aby być przy chrzcie królewicza Władysława. Od tej podróży poczęła słabieć na zdrowiu i przekawęczała rok cały. Na końcu miesiąca sierpnia roku 1596 rzekła do spowiednika: Już rychło padnę w niemoc, z której nie wstanę. Jakoż w krótce śmierć lekka zabrała sprawiedliwą i bogobojną niewiastę. Szczegóły śmierci czytamy w kazaniu pogrzebowem Skargi:

„I przyjęła ś. Sakramenta, ostatnie pomazanie, przy bytności żałosnego syna swego, króla j. m. Jest się czem budować z obmyślenia jej, w onych królewskich dostatkach, o śmierci i o gotowaniu się do niej! Słyszałem z ust jej, gdy powiadała, jako wszystkie potrzeby do pogrzebu pod swojem łóżkiem chowała, i z sobą woziła, a testament zawdy porządnie spisany miała. Grób sobie przed kilkunastu laty w Krakowie zgotowała i na nim się zawdy tam będąc modliła, na swój obraz i kamień grobowy patrząc i o końcu swoim myśląc. — I przezto Bóg jej dał bardzo szczęśliwe zejście. W niemocy kończąc zywot swój, na każdą godzinę słuchała rozmów i upominania naszego duchownego, na pytania nasze nam odpowiadając z ochotą końca pragnęła i mówiła: śmierci się nie boję, ale się sądu boskiego boję. A gdyśmy jej jako kapłani dobrą myśl czynili, iż sędziego łaskawego mieć będzie, ktory dla niej umarł, ręce podnosząc, Bogu dziękowała a pociechę brała. Czeladkę swoją, którą dziwnie miłowała, płci obojej przepraszała, dziękowała, królowi jmci wszystkich zalecała. Samego króla upominała, aby pobożnie panował, cnót przodków swoich, królów polskich naśladowcą będąc, lud swój i tę ojczyznę miłował a oddając mu ręką swą testament i klucze do pozostałych rzeczy, hojnie łzy z oczu królewskich wytoczyła. Królowej też jmci młodej, która jej pilnie

---

*) Jej staraniem wyszedł Zielnik Szymona Syreniusza, sławnego botanika i lekarza owych czasów.

w niemocy służyła, i wnuczętom swoim upominki żegnane z wielką miłością oddawała i tak cicho do swoich ojców odeszła. Król jmci sam palcami swemi, jako Józef Jakubowi ojcu swemu oczy jéj zamknął.“

Było to 9 września 1596 roku — w dziesięć lat po śmierci Stefana Batorego — gdy zgasła cnotliwa i święta ostatnia córka Zygmunta. Dzwony warszawskie, które nad jej zejściem płakały, w niejednej duszy odbiły się wielkim i głębokim żalem, a naród cały uczuł że stracił matkę swoją, że ostatnia postać dawnych złotych czasów zstępuje do grobu. Z Anny śmiercią zginął na zawsze dawny dwór królewski, dwór swojski, patryarchalny, uczciwy i prosty: dwór do którego garnęli się biedni i bogaci, wielcy i mali, uczeni i prostaczkowie; zginął obyczaj dawny, który miał swoje ognisko na dworze królewskim. Rozproszyli się słudzy Jagiellonki z wiecznym żalem za dobrą panią, „która w testamencie swoim najmniejszego nie pominęła kuchcika.“ Obczyzna rozgościła się tem zuchwalej na tronie Wazów, że z śmiercią Wazy upadł dwór Jagielloński.

Zwłoki Anny złożono w kaplicy Zygmuntowskiej, w owem dawno przygotowanym grobie *). Prześliczna ta kaplica, złotą łuską pokryta, mieszcząca pomniki obu Zygmuntów i Anny pozostała jedyną pamiątką po świątobliwej królowej. Nad drzwiami widzimy jej portret; postać pełną godności, dobroci i powagi królewskiej.

Oby naszym niewiastom stała przed duszą ta postać święta, klęcząca na swoim grobie i modląca do Boga! Ta postać niewiasty, pełnej cichej i skromnej cnoty, miłośniczki narodu, płaczki grobów, orędowniczki szczęścia dla naszego kraju! Oby, odwiedzając kaplicę Zygmuntowską, pomniały zawsze, że ich stopa dotyka tych samych głazów, których dotykały kolana i czoło pokorne drogiej nam ostatniej Jagiellonki!

Józef Szujski.

MODLITWA

(u stóp posągu N. Panny, dłuta An. Oleszczyńskiego.)

Jakaś Ty czysta, jakaś Ty cicha,
Bogarodzico!
Łono pod rąbkiem zda się oddycha,
Jak woń się wznosi z lilii kielicha,
Zanim ją wiatry pochwycą.

I stoisz piękna, w świętej pokorze,
W słodkiem skupienia zachwycie;
A już Cię światło oblało Boże,
I świecisz niby poranku zorze
Na jasnym niebios błękicie.

A przecież wszystkie ziemi tej bole
Białą pierś twoją rozdarły:
Przez słabych niemoc, grzesznych złą wolę,
Syn twój, z koroną ciernia na czole,
Spoczywał na niej umarły.

I na Golgoty klęczałaś grobie,
W purpurze szaty skrwawionej;
Ziemia się w niemej trzęsła żałobie,
Echo świątyni przesłało Tobie,
Jęk padającej zasłony.

Cóż więc Twe czoło tak opromienia,
W pogody piękno dziewicze?
Żaliż żywota łzy i cierpienia
Nie padły nigdy — choć chmurką cienia,
Na Twoje wdzięczne oblicze?

Umęczonego Bogarodzico,
Usłysz wołanie niewieście!
Powiedz co było tą tajemnicą,
Żeś taka jasna, z piersią kobiecą,
Przez ziemskie przeszła boleści.

Wiem, że n a d z i e j a skroń pochyloną,
Nad grób ci wzniosła zamknięty;
Gdy miecz boleści przeszył Ci łono,—
Wiem ja, że w i a r a była uchroną
Dla Ciebie czystej i świętej.

Lecz zkądżeś wzięła o boląca!
Tego słodkiego wesela?
Czy lampa w dłoni Twojej płonąca
Jak przy rozświcie pierwszy blask słońca,
W taką się łunę rozstrzela?

Tak! tak! to m i ł o ś ć wielka choć cicha,
Światłem rozjaśnia się swojem:
Bo w niej pokora płonie nie pycha;
I ofiarnego napój kielicha,
Stał Ci się życia napojem.

Choć więc przez ciernie wiodła twa droga,
Ona Cię wiodła do Pana:
I boleść sama stała'ć się droga,
Boś przez łez tęczę widziała Boga,
Radosna, że powołana!...

I w objawienia cudownej chwili
Taką Cię ujrzał artysta:
Widać że ścieszka Twoja nie myli,
I żal Ci żaden czoła nie chyli,
Boś kochająca a czysta.

Taką też zawsze niech cię obaczą
Proszące ziemi tej córy:
Czy na synowskich grobach zapłaczą,
Czy gdy za bracią swoją tułaczą,
Wzrok tęskny wzniosą do góry.

---

*) Na pogrzebie miał kazanie ks. Piskorzewski a drugie Piotr Skarga. To ostatnie jest niezrównanej piękności.

Taką zstąp ku nim w hymnach ofiary
Gdy Cię wołają ze łzami;
Taką się ukaż, gdy pacierz stary,
Z aktem miłości, nadziei, wiary,
Cichemi szepczą ustami.

Ty! która niegdyś depcząca węża,
Boża rycerka pancerna,
Lśniłaś się w oczach polskiego męża,
Kiedy przed błyskiem jego oręża,
Pierzchała zgraja niewierna.

Marya Ilnicka.

La femme, dzieło J. Micheleta. Rozbiór.

(Dokończenie)

Druga księga dzieła Micheletowego traktuje o małżeństwie, o tem małżeństwie tak sponiewieranem, zbeszczeszczonem we Francyi. Stanowisko autora z początku ściśle fizyologiczne i materyalne, mianowicie w rozdziałach: *Quelle femme aimera le plus? celle de race differente, celle de la même race?* — podnosi się powoli coraz wyżej. Jak wszędzie wraca atoli Michelet upornie do swego materyalizmu, który doprowadza do zenitu w pięknej legendzie. *La grande legende d' Afrique*, legendzie egipskiej o Izydzie i Czyrisie.

Wybór męża dla córki, mowi autor, oto najważniejsza chwila w życiu matki. Czującem sercem wchodzi on w jej obawy i niepewności, w jej smutek głęboki, który niedługo ma cały osierocony dom opanować. — Zwraca atoli uwagę na ważny fakt, codziennie w życiu praktykowany, który staje się przyczyną nieszczęścia wielu małżeństw.

Matki lubią wybierać zięcia po swej woli i chęci — zamiast wybierać męża dla córki. Matki lubią zięciów podobnych do siebie, lalki, które żadnej płci nie mają. Obawiając się ludzi energicznych, przenoszą uległych i nijakich. Smutne je czeka odczarowanie! — On uległy o nijaki w kilka dni po ślubie okaże się twardym, suchym i fałszywym.

„Tymczasem pamiętaj, szanowna pani, mówi Michelet, że dla twej córki trzeba *mężczyzny*. „Trzeba jej ramienia i serca, ramienia zdolnego ją podeprzeć i równać jej drogi życia, serca bogatego z którego córka twoja mogłaby czerpać, z którego za dotknięciem wytryskuje iskra życia i czucia.“

Trzeba jej męża „z wiarą i pracą“ męża, który żonę porwie w burzę czynów i usiłowań swoich, uczyni ją powierniczką myśli swych około dobra publicznego. On potrafi kochać, on potrafi zasłużyć na miłość, bo on żonie swej potrafi dać ciągle zajęcie, potrafi jej być wiecznie świeżym i młodym, jak wiecznie świeżym i młodym jest ruch XIX wieku.

Wielka to i głęboka prawda, prawda w wysokim stopniu zastósowalna do naszych stosunków. Pozwalamy sobie zatem zwrócić mowę do pań naszych i przepolszczyć im myśl Micheleta:

Szanowne Panie!

Wydawajcie córki wasze za mężów, mężów zasługi i pracy! Niemyślcie, aby małżeństwo miało być czasem chińskiego spokoju, stagnacyi moralnej, próżniactwa i epikureizmu! Małżeństwo, to święty węzeł religijny, ale i narodowy razem! Przyjmijcie zięcia, co z piersią pełną zapału rzuca się w odmęt obywatelskiej pracy, który duszę córki waszej nastroi na ton najprawdziwszego szczęścia, szczęścia wypływającego z wypełnienia swoich obowiązków.

Uczestniczka w pracach męża, patrząca ciągle w twarz jego drgającem ruchem życia, córka wasza będzie szczęśliwą, będzie przygotowaną na wszystko, będzie rosnąć moralnie na obywatelkę, na bohatyrkę. — A bohatyrek nam trzeba!

Tutaj Michelet, idąc za przewodem Russa w Emilu, tworzy sobie w fantazyi parę przeznaczoną do połączenia się ślubem małżeńskim. Każe się widywać przyszłym małżonkom od czasu do czasu, bawić na jednym kobiercu za dni dziecinnych, każe utrzymywać w obojgu przychylną dla siebie pamięć. Chce aby czekali na siebie, marzyli o sobie od najpierwszych lat młodości. Gdy młodzieniec dorośnie, niech idzie w świat, niech się uczy i walczy z całym ogromem jego wrażeń, ale niech ma w tym gwarze życia jedną oazę spokojną, myśl o przeznaczonej dla siebie. Niech ta postać strzeże go od złego, niech mu będzie ideałem, stojącym w jego sumieniu świętą grozą moralną. Pozwólcie niech narzeczona od kolebki, poszle czasami krótki bilecik do jego pracowni, aby nad książkami i papierami unosił się jak skrzydło motyle, gdzieś w świat marzeń, w świat szczęścia. Gdy młody człowiek wyjdzie bohatyrsko z tych pierwszych z światem zapasów, gdy podtrzymywany potęgą miłości nie upadnie, gdy sobie nareszcie zyska stanowisko w społeczeństwie, oddajcie mu anioła w ręce, ktory mu był wiarą i nadzieją — on go uszczęśliwi!...

Piękne to acz niepraktyczne marzenie. Wiązać wolę ludzką, wiązać uczucie, to jedno, co pobudzać cię do powstania...

Traktat o małżeństwie jest może najważniejszą częścią dzieła. „Małżeństwo to zezwolenie“ i znowu „Małżeństwo to spowiedź dusz- oto zdania, około których snuje się cała treść traktatu. Kościelną i cywilną stronę małżeństwa pomija autor, przekładając nad nią moment obyczajowy, psychologiczny a nawet materyalny.“ Jest wiele małżeństw, które nie są małżeństwami, bo brakuje w nich zezwolenia, spowiedzi dusz, miłości. Rozpowszechnionem dziś jest zdanie, że małżeństwo jest końcem miłości. Przeciwnie: jest ono początkiem, bo małżeństwo datuje się nie od ceremonii ale od porozumienia się dusz wzajemnego.“ Są to exaltowane zdania, mające swoją głęboką prawdę, jeźli od nich odłączymy utopie, przeciwne wszelkiemu społecznemu i moralnemu porządkowi świata. Są to zdania, których źródło znajdujemy w ewangelii. Religia nasza pojmuje małżeństwo jako sakrament, łączący dwie dusze i dwa ciała węzłem nierozdzielnym i świętym. Miłość wzajemna jest warunkiem chrześciańskiego małżeństwa, miłość jest jego podstawą. Miłość ta każe opuścić ojca i matkę, i iść za małżonkiem aby byli „jako jedna dusza i jedno ciało.“ W czemże Michelet wyżej mógł pojąć małżeństwo? — Czemże zastępuje znienawidzony przez siebie obrząd kościelny? Oto wypowiedzeniem tego, co w tymże obrzędzie jest duchem, jest treścią wewnętrzną! Ale tego potrzeba było, aby zwrócić uwagę na prawdy święte, które spadły w oczach ludzkich do czczego formalizmu ceremonii kościelnej.

Z miłością prawdziwą kreśli Michelet rady dla młodych małżonków. Przypisując mężczyznie wszystkie zboczenia małżeństwa, wszelką ruinę małżeńskiego szczęścia, wdraża mu w pamięć obowiązek delikatności, przedstawia żywo cały ogrom ofiary, którą dłań niesie kochająca go małżonka. „Pamiętajcie, że kobieta chce być towarzyszką, chce zależeć od męża! Pamiętajcie

że on ma sto myśli i zajęć a ona tylko jedno, tojest: męża. Trzeba ją zatem uczynić uczestniczką prac i dążeń swoich, spowiadać jej się z swych zamiarów, zainteresować ją całym tym światem, w którym mąż walczy i działa. Pamiętajcie, że trzeba duszy jej podawać pożywioł idealny, w którymby spoczywała po trudach. — Każda sztuka, każda umiejętność, to jedna droga więcej do poznania się wzajemnego, a na tem poznaniu wszystko zależy. Czytaj z nią razem, pokazuj jej dzieła rzeźby i malarstwa, spływaj się z jej duszą w sferach muzyki, a każde uniesienie, które ztamtąd wyniesie, spotęguje tylko miłość, która nakoniec zwróci się ku tobie, aby cię uszczęśliwić.“

Nic mądrzejszego, jak te uwagi, jak uwaga wypowiedziana w rozdziale o sztukach i umiejętnościach, w której kreśli różnicę pojmowania kobiety a mężczyzny: „Dowiedz się jeszcze o rzeczy, mało znanej, rzeczy która spólnictwo myśli z kobietą czyni tak rozkosznem. Kobieta innemi zmysłami chwyta wrażenia i oddaje je w kształtach pięknych, których wcale się niespodziewamy. Co dla mężczyzny jest *światłem* jest dla kobiety przedewszystkiem *ciepłem*. Idea staje się u niej uczuciem. Uczucie silne przeradza się w drganie nerwowe. Myśl wielka, wynalazek zbawienny, przyjemnie działa na mózg mężczyzny, uśmiecha się on ku tej niespodziance: ona, ona poczuje wszystkie jego zbawcze skutki, jego dobrodziejstwa dla ludzkości. — Bije jej serce, dreszcz przechodzi jej ciało — wzruszenie łączy się z miłością ku tobie — Ona rzuca się w twoje ramiona i przyciska cię do serca.

Między licznemi pamiątkami ducha ludzkiego, zdolnemi korzystnie wpłynąć na związek dusz w małżeństwie, nie widzi Michelet bardziej wpływowych, jak legendy i mity starożytności. — Zamiłowanie w mitach, w tłumaczeniu ich tajemnic, jest od kilkunastu lat ogólnem na zachodzie — urosło nawet do grożącej na pozór chrześciaństwu potęgi. W mglistych kształtach mitów starożytnych, upatrują uczeni ogromne zasoby mądrości patryarchalnej, pierwotnej, niepomnąc, że początek tej mądrości w czasach tak odległych, tak barbarzyńskich, tak dziecinnych człowieczeństwa, daje się tylko wytłumaczyć rozłomem wielkiego pierwotnego objawienia, którego każda cząstka posłużyła jeszcze jako źródło głębokich prawd ludzkich i boskich. W ten sposób tylko można sobie wytłumaczyć odcienia religii starożytnych, ich wielkie pokrewieństwo, ich kupienie się koło ogniska środkowej, górnej Azyi. Ale mitologowie zagraniczni wolą wierzyć w pierwszą lepszą utopią, niż w biblią, jak to słusznie w historyi literatury powszechnej Lucyan Siemieński zauważał.

Tą drogą idzie i Michelet. Kazawszy panience czytać Zendaweste miasto książki do nabożeństwa, radzi małżeństwu rozpamiętywać legendę egipską o Izydzie i Ozyrysie, zamiast chrześciańskiej jakiejś lektury. Nie przeczymy, że legenda egipska mieści w sobie wiele mistycznego sensu: to pewna jednak, że ją przecenia Michelet, i dowolne jej podkłada tłumaczenie. Legenda o Izydzie i Ozyrysie wzrosła na topograficznem i klimatologicznem położeniu Egiptu. Należy ona do cyklu mitów wschodnich, cyklu ściśle materyalnego, o dwupłciowości natury, która w Babilonie spowodowała cześć Bela i Belitany, w Fenicyi cześć Molocha i Astarty, w małej Azyi cześć Kronosa i Rey (Kybeli). Czyliż się godzi najniższą sferę religii, sferę jej naturalną, cielesną podnosić do tak wzniosłego znaczenia? Czyliż się godzi brukać umysł kobiety mitem, który ma w sobie tyle brudnych i *obscène*, że się wyrazimy podług szanownej rady pani Wilkońskiej szczegółów.

Ale Michelet wybrał legendę afrykańską, jako odpowiednią dla swoich myśli. Małżeństwo jest dla niego przedewszystkiem wielką tajemnicą natury. Rozwojowi tej myśli poświęca autor rozdział: *La Communion d' amour.* W mistyczno politycznych wyrazach podnosi on do pierwotnej świętości tę naturalną, fizyczną stronę małżeństwa, którą lekkomyślny świat znieważył i zbezcześcił, o której milczy dzisiaj przyzwoitość, skoro dawna naiwność myśli opuściła ludzi. Ta strona dzieła, aczby się śliską wydać mogła, traktowana jest z wielką godnością i namaszczeniem. Powrócić poszanowanie wielkiej tajemnicy rodzicielstwa, powrócić jej tę grozę moralną, którą ją Pan Bóg przyoblógł to jedno, co zreformować całe społeczeństwo ludzkie. To jednak pewna, że zapatrywanie materyalne tej grozy moralnej przywrócić niezdoła. Próżne są zatem owe poetyczne obrazy Micheleta, kreślące życie małżeństwa w naturze, w ślepem posłuszeństwie dla jej przemian wewnętrznych, obrazy, które mają sprowadzić ludzi do zapoznanego życia w naiwności przyrody.

W dziewiętnastym wieku te obrazy tak przykro wyglądają, jak w ośmnastym malowidła eleganckich pasterzy i ckliwo-cnotliwe powieści Marmontela i Floriana. Ludzkość oskrzydliwszy duchem i rozumem każdą swoją działalność, wybujawszy niemi na niekorzyść serca, nie da się cofnąć w stan natury, w stan kolebki ludów. — Chcąc ją podnieść, chcąc ją wrócić zapomnianym a świętym prawom, należy działać na nią całą potęgą ducha, i z wysokości tego ducha pobudzić ją do wejścia w opuszczony zakon.

W rozdziałach: „*Comment la femme depasse l'homme*“ i „*Humilites de l'Amour—Confession*“ podnosi się autor wyżej, obejmuje z prawdziwą intencyą właściwość niewieściej duszy. „Miłość potęguje siły umysłowe kobiety do wysokości, która mężczyznę zawstydza. — Kobieta ujmuje rzeczy w ich samem wnętrzu, które często uchodzi przed naszą uwagą. Ona często widzi po za głowy i oczy nasze, przebija przyszłość, wdziera się w świat niewidzialny, w świat duchów. Z jednej strony, drobiazgowym oddana zajęciom dusza eteryczna, lotna, sięga z drugiej strony w sfery nam nie znane.“ Ta łatwość, eteryczność kobiecej duszy oddala ją często od mężczyzny, odbiera mu jej posiadanie. Smutny ten symptomat zobczenia i oddalenia się kobiety, ma jednakże najczęściej przyczynę w zewnętrznych okolicznościach. Jest to matka, siostra, przyjaciółka, towarzystwo jakieś zajmujące które odrywa kobietę od męża. Michelet boi się tego i radzi, aby kobiety nie podzielały swego serca. Klasztorna jego metoda chowania żony, wypowiedziana w jego dziele p. t. *Amour*, zdaje mu się najwłaściwszą do przeszkodzenia zgubnym wpływom rozerwania serca.

„Miłość chce być samą, jak drzewo pomarańczy.“ — Nie widzimy jednakże przyczyny aby małżeństwo musiało zrywać wszystkie związki serdeczne, żeby miało róść na ruinie wszelkich dawnych powinności miłosnych. Czyliż kochająca matka, siostra, przyjaciółka, mają tracić swoją córkę, siostrę, towarzyszkę i powiedzieć sobie:

Gdy na dziewczynę zawołają: żono!
Już ją żywcem pogrzebiono.

Czy raczej rozsądna tolerancya tych stosunków, nie powiększa jeszcze miłości dla męża? Czyż on nie ma tysiąca sposobów, aby miłości swojej nadać osobny wdzięk, którego tamte nie mają? A jeżeli ich nieposiada, czemuż odbierać kobiecie łono matki, siostry, przyjaciółki, na którym się może wypłakać i nowych sił do walki życia zaczerpnąć? —

Spowiedź małżeńska, ciągłe obcowanie duszy z duszą,

odkrywanie wzajemne każdej myśli i uczucia, jest zdaniem autora podstawą małżeństwa. Na to zgadzamy się zupełnie, bo to myśl chrześciańska. Gdzie jest miłość, tam nie ma tajemnic, tam nie ma dumy i współzawodnictwa, tam obie dusze tak powiązane razem, że myśl jednej udziela się sympatycznie drugiej. Taka spowiedź obopólna jest zarazem wielką dźwignią moralną. Wśród czystej i szlachetnej miłości wzajemnej, przy porozumieniu się obojga: nie ostoi się w duszy obojej żadna myśl brudna, podła, żaden zamiar, któryby mógł pociągnąć za sobą wzgardę drugiej strony. Obie dusze połączone świętym ślubem dążą w ten sposób w krainę wiekuistej doskonałości. Tutaj spoczywa tajemnica wielkiego przeznaczenia małżeństwa: przeznaczenia owych dusz jednym związanych łańcuchem, które mają sobie wzajemnie pomagać, czworgiem skrzydeł dążyć w niebo. Ale materyalistyczny Michelet nie dostał do tej ostatniej skali tonów, których pierwszy wyrasta z potrzeb ziemi, a najwyższy tęskniąco ku niebu się zrywa.

La femme dans la societé — oto tytuł trzeciego z kolei działu. Jest on słabiej opracowany, fragmentaryczny. Treść podaje autorowi kilka kwestyj bieżących; kwestya sierot, szpitalów i więzień. Pomimo tego dział: „o kobiecie w społeczeństwie“ jest może najpiękniejszym z całej książki.

Mężczyzna, mówi autor, jest stworzycielem, ale stwórzycielem zarówno przeczących i twierdzących czynów świata, porządku i zamętu, zgody i wojny. Kobieta za to jest aniołem pokoju, cywilizacyi i harmonii. Kobieta goi rany, uspakaja burze, zapośrednicza niezgody. Kobieta jest aniołem dobroci.

Tę rolę dobrotliwych aniołów, aniołów miłosierdzia, oddaje autor w szczególności starszym kobietom. Gdy przekwitnie miłość, gdy mąż w grób się położy, niechaj przychodzi epoka przyjaźni i dobroczynnego działania dla świata.

Nie wiemy dla czego-by pierwej przyjść nie mogła? Czy także dla tego że serca dzielić i rozrywać niemożna?

Ale zgadzamy się, że wiek podeszlejszy, doświadczony, mniej związany formalnościami świata, szczególniej odpowiada tym zajęciom dobroczynnym, zgadzamy się, że osoby opuszczone powinny szukać szczęścia drugich. Niechaj osierociała i owdowiała matrona stara się wpływem swoim pogodzić zwaśnione małżeństwo, niech się opiekuje niem i troszczy o niego, a skutki dobre, które wywarła, odbijają się w duszy jej rozkoszą prawdziwą. Niech się zajmie sierotami i zastąpi im matkę. Niech pielęgnuje chorych i odwiedza więźniów. Życie jej samotne nabierze treści, uroku, wartości dla niej samej i dla świata.

W kwestyi ulepszania więzień, podnosi autor głos za małżeńskiem pożyciem więźniów. Jakież prawo, pyta się z zupełną słusznością śmie zrywać małżeństwo, karać winnego podwójnie, oddaleniem od świata i od istoty, z którą go ślub wiąże? Czyliż to nienaturalne i oburzające postępowanie nie przyczynia się do tego; że więźniowie zamiast się poprawić, dziczeją i gorszymi się stają?

Ale najpiękniejszym epizodem trzeciego działu, jest historya Karoliny Jones, zamężnej Chisholm. Rzucona losem w świeżą kolonią Australii, do miasta Melbourne, szlachetna ta kobieta przyłożyła się stanowczo do zwrotu w obyczajowem życiu tych odrzutków społeczeństwa, których awanturnicze życie, zbrodnia lub ostatnia nędza do tej półdzikiej części świata zagania. Wiadomo, że osadzie Melburnskiej przywożono całe transporta kobiet, które padały pastwą dzikości i brutalstwa kolonistów. Wielka dusza Karoliny oburzyła się na tę bezcześć płci swojej i pomimo szczupłych dochodów założyła rodzaj przytułku dla nieszczęśliwych, które los lub podstęp niecnych kobiet rzucił w tę paszczę zepsucia i spodlenia. Pomimo obojętności rządu, pomimo krzyków i gróźb motłochu, który na panią Chisholm morderczy sztylet podnosił: kobieta wielkiego serca wytrwała i doczekała się błogich skutków swego przedsięwzięcia. Z czasem została Karolina swatką ogromnych kolonij. Położywszy koniec swawoli i rozpuście, przyprowadziła kolonistów do poczucia moralnego, poruczone pieczy jej pupille, zostały dobremi i szanowanemi małżonkami wielu kolonistów. A była to kobieta prosta, nie exaltowana, kobieta obdarzona w wysokim stopniu darem rządności i rachunkowości, jak tego dowodzi czysto angielski rys przytoczony przez Micheleta. „Czując swą odpowiedzialność względem małego majątku swej familii, swego męża i dzieci, Karolina Chisholm tak manipulowała sumami potrzebnemi do jej przedsięwzięcia, że prócz bardzo małej sumy, w niczem dobroczynna jej działalność nie uszczupliła tego majątku. Podczas całej swej apostolskiej czynności, nie zubożyła swej familii, jak o—16 liwrów.

Przeszliśmy ważne dzieło Micheleta rozdział po rozdziale. Podnieśliśmy sumiennie wszystko, conam potrzebnem i zbawiennem być mogło, zwróciliśmy uwagę na obłędy i utopie, które polskiemu duchowi i obyczajowi są przeciwne. Kto go nie czytał, może, ile nam się zdaje, poprzestać na naszem sprawozdaniu, tem bardziej, że w książce, zkąd inąd drogocennej, są rzeczy, któreby nie jedną twarz naszych poczciwych i skromnych niewiast, żywym mogły powlec rumieńcem.

Dzieło Micheleta pomimo tego jest objawem, który każdego przyjaciela ludzkości ucieszyć powinien. Widać w niem otwartą drogę do dodatnego, harmonijnego życia, widać powstanie z długoletniej gorączki przeczenia. Pod tym względem jest ono wypadkiem historycznym, stojącym obok faktów tej regeneracyi socyalnej i moralnej, którą przyniósł z sobą duch Napoleona III. Burzące siły rewolucyjne, zaczarowane potężną ręką czasu, przechodzą powoli w nowy żywioł dodatny, rozwijają się wspaniale w objawach spokoju i świadomości wewnętrznej. Może w tem wszystkiem mniej extrawagancyi, mniej fajerwerków i bengalskich ogni, mniej tytanizmu i śmiałego polotu myśli, jak za czasów Ludwika Filipa, w epoce Suego i Sanda, Wiktora Hugo'na i Musset'a, ale niezawodnie więcej rzeczywistego pożytku, przyszłości i błogosławieństwa.

—2.—

Mary Somerville.

Przytoczyliśmy już w naszem piśmie, życie znakomitej lekarki, Elżbiety Blackwell, nie możemy także pominąć milczeniem drugiej, równie znanej jej rodaczki, w innej gałęzi nauk wysokie zajmującej stanowisko, stanowisko dotąd przez żadną z niewiast nie zajmowane.

Tą drugą, w Anglii urodzoną niewiastą iest Mary Somerville. Alexander Humboldt, na którego świadectwo, jak na wyrocznią, powołuje się jedno z pism niemieckich, o Mary Somerville spominające, wyraził się o niej, *że niezaprzeczenie wysokie stanowisko zajmuje między matematykami, i należy do szczególniejszych niewiast naszego czasu.*

Urodziła się w szkockiem hrabstwie Faif dnia 10 grudnia 1780 r. Ojciec jej Fairfax był admirałem. Wychowana według przyjętego w Anglii zwyczaju, od maleńkości ulegać musiała powadze niedozwalającej dziewczętom niższej klasy rościć pretensyi, do wyższego wykształcenia.

W Anglii guwernantka, zazwyczaj córka proboszcza, woląc stan nauczycielski niż towarzystwo u jakiej wysokiej damy, prowadzi uboższe panienki, dając im pierwsze wykształcenie.

Jeżeli się taka guwernantka uda, i jeżeli rodzice baczą na jej postępowanie, to mło-

de dziewcze nabędzie gruntownej nauki tego, co w ogólności do niewieściego wykształcenia należy: nauczy się więc czytać i pisać po francuzku, muzyki i rysunków, lecz już od osobnych metrów; każda młoda panienka, stanu wyższego nad kupiecki gra dobrze na fortepianie, maluje z natury, i robi osób swej rodziny—częstokroć trafne portrety. Dzieje ojczyste należą także po części do nauk panienkom potrzebnych, Anglik chce, by jego córka wiedziała coś o tej przeszłości, z której on jest dumnym, i którą słusznie się szczyci. Wyższych jednakże i szczegółowych wiadomości, tylko wyższej klasy panienkom nabywać się godzi. Że zaś w Anglii, nie tak jak w Ameryce, osobno chłopcy, a osobno dziewczęta się uczą — dla tego też nigdy w Angielce nie obudzi się smak do nauk chłopcom udzielonych. Anglicy dziwią się nadzwyczajnie słysząc, że tam w Ameryce dziewczeta takie same robią egzamina co i chłopcy ubiegając się z niemi o nagrody. Obyczajów amerykańskich ani pojąć nie mogą, tak dalece, że pewien podróżny po dwakroć odpowiadać musiał na podziwienia, że pani Stowe we własnej osobie podejmowała towarzystwo.

Mary Somervil odbyła cały wyznaczony stopień nauki. Mając lat 14cie przeczytała wszystkie znajdujące się w domu jej ojca książki, nie wyłączając nawet dzieła o żeglarstwie. Odtąd rozwidnił się przed nią świat wiedzy. Już jej nie bawiła igiełka, ani robota pończochy. Igła atoli w jej ręku była niejako talizmanem jej przyszłości, zapowiadając jej powołanie. Chodziła bowiem z robotą do pokoju swego brata, i przysłuchiwała uczeniu się jego lekcyj na pamięć. Gdy przyszła kolej na geometryę, Mary, z początku słuchała spokojnie, robiąc swoje dalej. Gdy jednak w duszy jej żądza poznania tej dziedziny nauk tak wzrosła, że oprzeć się jej było już trudno, pewnego razu odrzuciwszy na bok robotę, zwróciła się do nauczyciela swego brata z prośbą, aby jej uczył matematyki. Poczciwy jednak korepetytor przyznał się jej, że sam nie umie wiele — że jej tylko według starej metody, która Euklidesową się zwała, początków nauczyć może.

I na to zgodziła się Mary; Euklidesa przeszła szybko, innych książek pożyczyli ludzie — główniejsze oddziały pojęła z ogromną łatwością, radość jej nie do opisania wzrastała z każdym postępem w tej tak niewłaściwej kobiecie, nauce.

Rodzice przyglądali się jej zatrudnieniu, z początku obojętnie: bo Mary przez to ani muzyki, ani innych lekcyj z guwernantką wcale nie zaniedbywała — nie widzieli więc nic w tem złego, że się według upodobania swego rachunkami tak gorliwie zajęła.

Po skończonej edukacyi z guwernantką, weszła w Edynburgu w świat wielki żyjąc w samych znakomitych towarzystwach. Na początku naszego stólecia Edynburg w zimowych miesiącach był napływem wielkich znakomitości, nauki i literatury. A pomimo że Mary w tem świetnem gronie bardzo cicho i skromnie się zachowywała, gieniusz jej nie mógł pozostać w ukryciu.

Znakomity krytyk Jeffrey, którego ostrości sądów wszyscy się obawiali, ujmował się za nią, ceniąc jej wysokie zdolności. Przyjaciel jego pisał mu raz w liście: „słyszę, że edymburgskie damy są uczone i że jedna pomiędzy niemi odznacza się *niebieską pończoszką* i *astronomią*.“ Na to mu odpisał Jeffrey: dama, o której myślisz, może i ma niebieską pończochę — suknia jej jednakże tak jest długą, żem jej jeszcze nigdy nie widział.

Mary wstępowała dwa razy w związki małżeńskie. Pierwszy jej małżonek, niejaki Greig, przypatrywał się jej pracom, obojętnie tak jak i jej rodzice. Lecz doktór Somervill, dzisiejszy jej mąż, z całą usilnością starał się ją w jej studiach upewnić, i uwolnił od wielu domowych zatrudnień niewieścich.

Towarzystwo królewskie (Royal Society) przyjęło ją za członka i kazało zrobić jej biust, który teraz zdobi salę towarzystwa w *Somerei-house*.

O jej stosunkach osobistych z osobami równej sobie płci, różne opowiadają anegdoty. Gniewało to nieraz znakomite panie, gdy po długiem staraniu zapoznania się z Mary, nie mogły w niej głoszonej wszędzie o niej gieniálności dopatrzyć. Bo Mary rozmawiała z niemi o teatrze, o pogodzie — a nigdy o astronomii.

La Place wielki geometra francuski będąc w towarzystwie z Mary rzekł do niej: Ja piszę dzieła, których żaden człowiek czytać nie może. Dwie tylko kobiety czytały moję „*Mechanique l'electe*“ obie szkotki: Pani Greig i pani.

W dziele „Mechanika nieba“, Mary Somerville okazała najwięcej geniuszu. La Placa dzieła nie łatwo było zrozumieć. — Ona zrobiła je przystępnem dla wszystkich. Na żądanie lorda Brougham'a dopełniła tego dzieła, a rękopis tegoż dany był do przejrzenia Herszlowi. Herszel zaś powiedział o niem: „Zachwycam się; jest to książka dla potomności, stoi jednakże bardzo wysoko nad wszystkiemi książkami, z których lord Brougham może korzystać.“

Późniejsze jej dzieła są: „Połączenie nauki przyrody“ i „fizyczna geografia.“ — Zawierają one bogate zbiory faktów z wszystkich gałęzi nauk przyrodzonych, i odznaczają się wzniosłością myśli, głębokością nauki, jaką chyba w Humboldzie świat podziwia. Geografia fizyczna Mary Somervill, jest dziełem ze wszech miar godnem rozpowszechnienia, zwracamy tu na nie uwagę nawiasowo aby je polecić naszym czytelniczkom, którym znajomość geografii fizycznej nigdy zbyteczną nie będzie a dla których w polskim języku, podobnego dzieła nie mamy.

Podróżujący Amerykanin obszernie się rozpisuje w swych obrazach podróży o pani Somervill. Opatrzony listem polecającym, dawnej jej przyjaciołki p. Herszel udał się do niej w r. 1858 do Florencyi, u której Mary czas krótki bawiła. Poznawszy jej męża, któremu w swem pismie wcale jego dumy nie wyrzuca, a dumy z tego, że był mężem tak słynnej kobiety — doczekał się nareszcie spomniany Amerykanin ukazania się w gościnnej sali p. Somervill. Wszedłszy, opowiada tenże, pozdrowiła nas uprzejmie i rozmawiała z nami z żywością młodzieńczą. Mając lat 77 wygląda o 25 lat młodszą. Piękne rysy, miła fizyognomia, szerokie czoło, niebieskie oczy — oto jej obraz. —

Mówi akcentem szkockim i troszkę nie dosłyszy. Podówczas zajmowała się przerabianiem swojej „geografii fizycznej.“ Wyznała „że pracuje z równym zapałem, co i za młodu, lecz że się prędko utrudza. — Rozkład jej dnia był taki: ranek poświęcony pracy, popołudnie towarzystwu, i wtedy nie oddala żadnej wizyty. Mówiąc o swojem dziele, do którego mnóstwo nazbierała materyałów, wybiegła do sąsiedniego pokoju — i powróciła za chwilę niosąc masę rękopisów — na których samo wejrzenie, sprawiałoby niejednej damie ból głowy. Zresztą zabawialiśmy się wesoło, rozmawiając o potocznych rzeczach. — Była mowa o nowych wynalazkach chemicznych — o Kalifornii, o skutkach odkryć jej kopalń i t. p.

Mary Somervill mieszka we Florencyi z powodu słabości męża. — Bogato różami zasadzony ogródek, miłą jest dla niej rozrywką po mozolnej pracy.

Z pierwszego męża ma syna, z drugiego dwie córki: na które po matce spłynął talent muzykalny, i które dobrze mówią po włosku.

Im się kto bliżej z tą zacną kobietą zapozna, tem więcej ku niej nabiera szacunku. Ona wypełnieniem swych obowiązków i głęboką nauką, okazała światu własnie tę nową prawdę, że kobieta może wyższe zajmować stanowisko w społeczeństwie, p. Somervill będąc sławną w świecie uczonym, w towarzystwie jest nader przyjemną, a w domu wzorową żoną, matką i gospodynią. Nie jest tak źle, jak to wielu krzyczy, żeby kobieta chcąca się naukom wyższym poświęcić, musiała zaniedbywać rodzinę, dom i gospodarstwo. Można wszystko ze sobą pogodzić — a przecież pismo święte wyraźnie powiada, że grzechem jest zakopywać talenta. — Czemużby zaś kobiety talentów od Boga nie odbierały.

J.

Niewiasta wychodzi w Krakowie co Poniedziałek w objętości jednego do półtora arkusza druku.

Prenumerata w miejscu wynosi:

Rocznie	6 Złr.	— centów w. a.
Półrocznie	3 „	— „ „
Kwartalnie	1 „	50 „ „
Miesięcznie	— „	50 „ „

Prenumerata z przesyłką pocztową wynosi:

Rocznie	7 Złr.	20 centów w. a.
Półrocznie	3 „	60 „ „
Kwartalnie	1 „	80 „ „
Miesięcznie	— „	60 „ „

Mody paryzkie na żądanie za dopłatą (w przeciągu całego roku złr. 4 c. 20 w. a. wynoszącą) w miesiąc raz dosyłane będą. — Na same mody prenumerata nie przyjmuje się. „Niewiasta“ wychodzi cotydzień.

Pieniądze prenumeracyjne należy przesyłać **franko „do Redakcyi Niewiasty w Krakowie“**.

Miejscowi Prenumeranci mogą zamawiać tygodnik w księgarni F. Baumgardtena w głównym Rynku.

Inseraty odpowiednie naszemu dziennikowi, przyjmują się za opłatą od wiersza petytowego 7 centów oprócz 30 c. na opłatę stemplową za każdorazowe umieszczenie.

Dla prenumerujących „*Niewiastę z wodami*“ dołącza się z tym numerem jedna *Rycina*.

K. J. Turowski, Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu“. — Rządzca, **Antoni Rother.**